

Pasjonatka

Rozmowa z aktorką, pisarką, malarką... etc. - Barbarą Rybaltowską.



Barbara Rybaltowska, fot. TVP.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Pani zainteresowania są niezmiernie bogate. Jest pani pisarką, malarką, występuje pani na scenie, śpiewa piosenki. Skąd się wzięło w pani tyle pasji?

Barbara Rybałtowska: Rzeczywiście, straszna ze mnie „pasjonatka”. Skąd się to wzięło? Gdzieś to sobie we mnie drzemie, a jak się obudzi, to porywa mnie bez reszty. Nie wszystkie te moje pasje traktuję serio, chociaż całkowicie im ulegam. Ma się rozumieć, nie robię tego wszystkiego jednocześnie, po prostu, dla higieny psychicznej stosuję „płodozmiany”.

Pisarka

JSG: Napisała Pani przepiękna i wzruszającą VIII-częściową sagę rodzinną, której tematem są wojenne i powojenne losy pani i pani matki: „Bez pożegnania”, „Szkoła pod baobabem” i „Koło graniaste”, „Mea culpa”, „Czas darowany nam”, „Jak to się skończy”, „Co to za czasy”, „Co tu po nas zostanie”.

Kończą się beztroskie wakacje, zaczyna się wojna, ojciec zostaje wywieziony (zginął w Katyniu), a matka wraz z panią zostaje zesłana do gułagu. Podróż z Syberii do Afryki, to temat pierwszej książki z serii „Bez pożegnania”. Píše pani oczami matki, która znalazła w sobie nadludzką siłę przetrwania. Dla pani, małej wówczas dziewczynki, chciała żyć. Takie przeżycia tworzą niezwykle silny związek. Proszę powiedzieć, dla kogo napisała pani tę wspaniałą, wzruszającą do łez sagę, uczącą optymizmu i woli życia?

BR: Przede wszystkim, tak jak wynika z dedykacji, dla Mamy, żeby ją uwiecznić. Ale nie tylko, również dla córki i wnuków i w ogóle dla potomnych, dla siebie także. Tak robią wszyscy piszący, to jest potrzeba podzielenia się ze światem swymi przemyśleniami, wątpliwościami, nadzieją. Ta moja saga rodzinna nie jest li tylko historią mojej rodziny. Jest poszerzona o losy innych Polaków, tło historyczne. Czyta ją moje pokolenie, ale też coraz więcej ludzi młodszych.

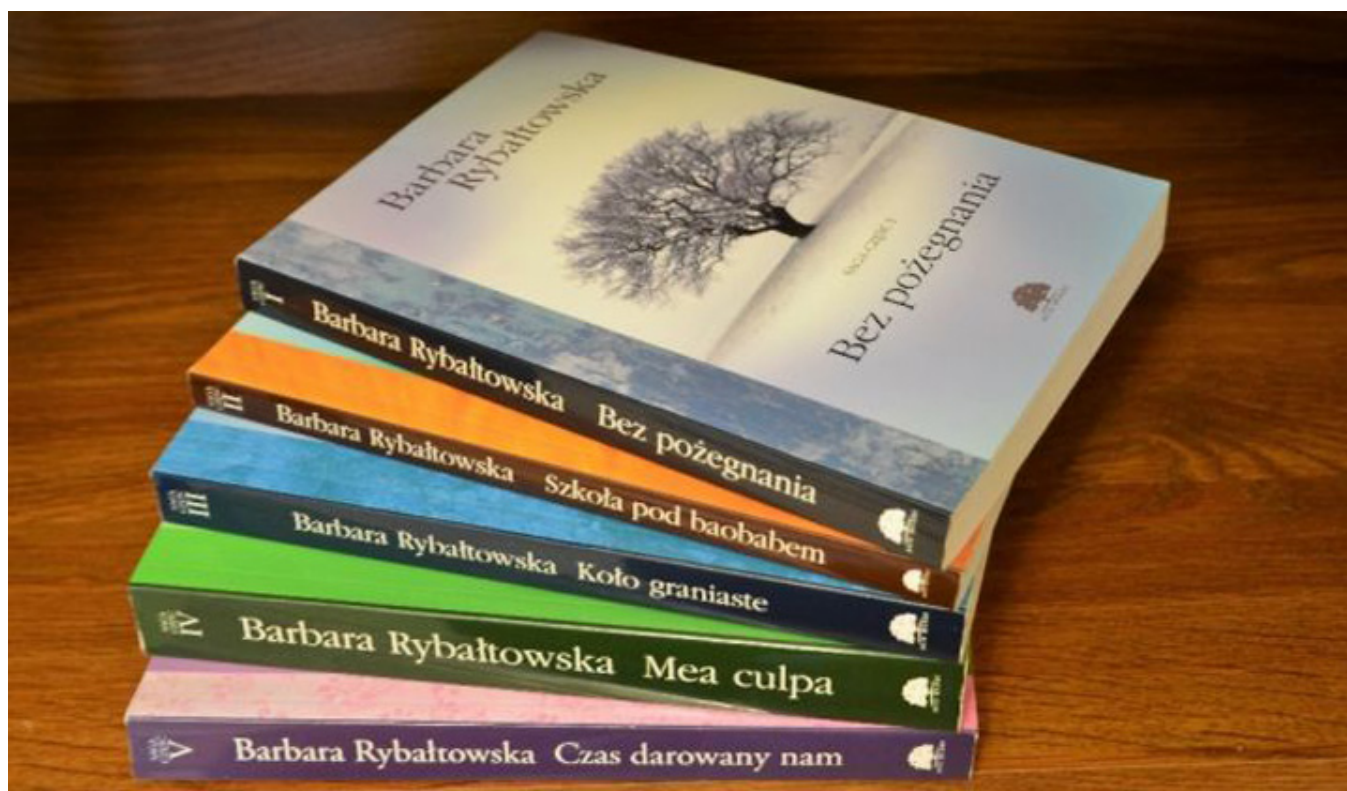
JSG: Wiem, że kontaktował się z panią reżyser Jerzy Antczak. Czy są jakieś szanse na ekranizację „Bez pożegnania”?

BR: To fakt, że jest wielkim fanem tej książki, ale z różnych względów nie może tego zrobić. Natomiast przeczytanie przez Jadwigę Barańską i Jerzego Antczaka mojej sagi zaowocowało wspaniałą przyjaźnią między nami, którą sobie bardzo cenię. Jurek napisał swoje wspomnienia. Bardzo pożyteczna i mądra lektura, powinna odnieść sukces.

JSG: Pisze Pani też powieści: „Romans w Paryżu”, „Kuszenie losu”. Książki wciągają czytelnika - interesująco prowadzona intryga i zawarte w niej życiowe przesłanie. Skąd Pani bierze pomysły na powieści?

BR: Najpierw rodzi się problem, który mnie nurtuje, potem

metoda jaką chciałabym to przekazać, a na końcu wypełnia się to treścią. A ta najczęściej mnie samą zaskakuje. Dlatego właśnie pisanie jest fascynującą przygodą.



Saga rodzinna Barbary Rybałtowskiej.

Biografistka

JSG: Napisała Pani biografie: Barbary Brylskiej, Barbary Wrzesińskiej, Igi Cembrzyńskiej, Stefana Rachonia oraz Czesława Ciotuszyńskiego, konstruktora statków kosmicznych z USA. Co zafascynowało Panią w tych osobach, że zapragnęła Pani zgłębić ich życie?

BR: Kiedy sięgamy po pióro, żeby pisać czyjąś biografię, na ogół

jest to osoba, która porusza wyobraźnię nie tylko piszącego, ale szerszych kręgów ludzi. O Basi Brylskiej pisałam po to, żeby po jej tragedii (*śmierć córki, przyp. JSG*) pomóc się jej podnieść, spojrzeć na to, co było dobre w życiu, zająć ją czymś.

Inne moje bohaterki to też wybitne aktorki. Fascynacja nimi rosła w trakcie pracy nad książką. Biografię pana Ciotuszyńskiego pisałam na jego zamówienie. Moja córka dokonała przekładu na język angielski. W amerykańskiej wersji bohater nie umieścił nazwiska ani tłumaczki, ani nawet autorki – no, cóż... Powiedział mi, że ktoś mu doradził, że tak będzie dla niego lepiej. Nie komentuję...

JSG: Przeprowadzam wywiady z różnymi ludźmi, artystami, naukowcami. Zauważyłam, że każda z tych osób coś mi zostawia, jakąś energię, zdanie, które zapamiętam do końca życia, sposób widzenia świata, sposób odczuwania. Gromadzę sobie taki swój „kufer ze skarbami”. Czy Pani też łączy się emocjonalnie z osobami, o których pani pisze?

BR: Śledzenie czyichś losów zawsze jest pouczające. Łapię się często na tym, że w trakcie pracy następuje taki moment, kiedy się identyfikuję z bohaterami do tego stopnia, że zaczynam im wkładać w usta zdania tkwiące we mnie. Wtedy szybko dokonuję korekty i wracam na ziemię. Zawsze głębsza analiza drugiej

osoby jest też inspirująca.

Aktorka-autorka

JSG: Napisała pani monodram pt. „Próba u Poli Negri” i z powodzeniem pani w nim występowała. Proszę powiedzieć, dlaczego zainteresowała się pani tą postacią?

BR: W czasie trwania mego paryskiego śpiewania wśród muzyków francuskich, nie wiem czemu, miałam „ksywę” Pola Negri. Nie przywiązywałam wtedy do tego wagi. Ale dwa lata temu moja koleżanka aktorka poprosiła mnie o napisanie dla niej monodramu z piosenkami o Marlenie Dietrich. Zaczęłam zbierać materiały. W trakcie tej pracy natknęłam się na pamiętniki Poli Negri. Równocześnie - zbiegiem okoliczności - dostałam w prezencie płytę z nagraniami filmowych przebojów Poli Negri. Spodobały mi się i zaczęłam je tłumaczyć, gdyż ona nigdy nie śpiewała po polsku. Pokazałam te przekłady pewnemu wybitnemu reżyserowi, a on nieoczekiwanie powiedział: a czemu ty sobie nie napiszesz dla siebie monodramu o Poli? Pasowałabyś do tego. Roześmiałam się najpierw, a potem zaczęło mnie to nurtować. No i po dwóch miesiącach, sztuka była gotowa. Łańcuszek dobrej woli, jaki rozpętał się w czasie jej powstawania dobrze wróżył. Wciąż ktoś mi przynosił, a to kolejną książkę o Poli, a to jakiś jej film, a wydział kultury Miasta Stołecznego Warszawy w drodze konkursu pomógł w sfinansowaniu przedsięwzięcia. Premiera odbyła się 16 stycznia 2006 roku w

Sali Reprezentacyjnej Zaisu przy komplecie widzów.

Pola miała fascynujące życie. Ja grałam dość wiekową gwiazdę, która szykuje się do recitalu swoich filmowych hitów na balu charytatywnym. Stąd tytuł: „Próba u Poli Negri”. Telefon z Polski skłania ją do refleksji nad całym jej życiem.

Sztuka miała powodzenie, a dla mnie była wspaniałą odskocznią od siedzenia przy komputerze. To takie *katarsis*, żebym nie zardzewiała.



Barbara Rybaltowska na Targach Książki w Warszawie/

Malarka

JSG: Jak to się stało, że zaczęła pani malować?

BR: Malować zaczęłam stosunkowo późno. Moja siostra była

uczennicą Liceum Sztuk Plastycznych, potem studiowała architekturę wnętrz, malowała. Podglądałam ją, nawet nie wie jak jej zazdrościłam. Aż tu kiedyś w Paryżu, gdy śpiewałam w ekskluzywnym kabarecie usytuowanym przy l' Avenue de l'Opera, w oczekiwaniu na mój występ szkicowałam jakieś krajobrazy, portreciki kolegów artystów. Właściciel kabaretu zaglądał w te moje rysunki przez ramię i powiedział:

Właśnie zamierzałem zmienić wystrój kabaretu i wiem, kto robi dekoracje.

- Tak? To dobrze - odrzekłam zdziwiona, że mi się zwierza ze swoich planów.

- Ciebie, Barbara mam na myśli - dodał.

- Mnie? Ja miałabym robić remont?

- Bez przesady! Ale jak już będzie po remoncie, mogłabyś zrobić dekoracje.

- Nie rozumiem.

- Po prostu, kupię farby artystyczne do tynków, drewna i szkła, a ty wymalujesz wszędzie takie obrazki, jakie tu robisz - wszędzie: na ścianach, witrynach i drzwiach.

- Żartujesz...

- Bynajmniej nie. No oczywiście, musisz w tych malowidłach nawiązać do charakteru kabaretu, a poza tym masz wolną rękę.

- Naprawdę dostanę farby i będę mogła malować na szkle, drewnie i ścianach, naprawdę? - niedowierzałam memu szczęściu.

(Działo się to w czasach głębokiego Peerelu, kiedy farby i wszelkie insygnia malarskie były niedostępne dla zwykłych śmiertelników. Zawodowi plastycy, uczniowie i studenci szkół artystycznych kupowali je w specjalnych sklepach dostępnych tylko dla nich, na jakieś tajemnicze talony, przydziały).

- Farby dostaniesz ode mnie w prezencie, ile zużyjesz, to zużyjesz, reszta twoja, no i oczywiście dostaniesz honorarium - kontynuował mój szef.

Jak powiedział, tak się stało. Za kilka dni, zaopatrzona w palety, pędzle i farby zaczęłam moją zwariowaną przygodę. Po paru tygodniach nastąpiło otwarcie kabaretu w nowej szacie. Było gwarnie, szumnie i tłumnie. Nazajutrz w jednej z paryskich gazet pojawiła się recenzja. Przechowuję ją do dzisiaj: ...*W nowo odrestaurowanym wnętrzu kabaretu snują się błękitnawe dymy, z nich wynurza się Barbara z mikrofonem. Obrazy przywodzące*

na myśl Chagalla, patrzące ze ścian, – ba! nawet z sufitu są wdzięczną oprawą dla rzewnych melodii. Publiczność oklaskuje dziś nie tylko wokalistkę, ale i autorkę dekoracji jedynej w swoim rodzaju – oklaskuje Barbarę...

Najzabawniejsza jest pointa tej mojej przygody. Choć honorarium za dekorację było pokaźne, to niewiele większe od sumy, którą zainkasowałam za pochłapaną farbami deskę, która służyła mi wtedy za paletę. Kupił ją, wprowadzając mnie w osłupienie pewien „galernik” (właściciel galerii sztuki współczesnej), bo uznał ją za interesujące „Tableau moderne”... Nie bez kozery śpiewam więc: *...ja nie artystka – ja szarlatanka!*

JSG: Artyści, ludzie pióra, patrzą na świat wnikliwie i umieją docenić jego wartość. Proszę powiedzieć, co dla Pani w życiu jest najważniejsze?

BR: Moja rodzina – jej spokój, zdrowie i szczęście. Ale też ten piękny i dziwny świat. Chciałabym, żeby było pięknie, spokojnie, żeby był czas na realizowanie marzeń, pomysłów. Zgoda i harmonia, mają dla mnie duże znaczenie i przyroda też. Kocham las, wodę, włości po puszczy Piskiej. Po prostu kocham życie.

Wywiad ukazał się w „Przeglądzie Polskim”, tygodniowym

dodatku kulturalnym „Nowego Dziennika” z Nowego Jorku, 7 marca 2008 r.

Barbara Rybałtowska Pisarka, autorka tekstów, aktorka, malarka – artystka wszechstronna. Pracę artystyczną rozpoczynała w studenckich kabaretach STS-u. Dzięki działalności w Zespole Pieśni i Tańca “Mazowsze” trafiła na estradę i do teatru Syreny. Przekłada wiersze i prozę z języka rosyjskiego i francuskiego. Ma w dorobku powieści: “Bez pożegnania”, “Szkola pod baobabem”, “Koło graniaste”, “Romans w Paryżu”, „Kuszenie losu” oraz poczytne, zbeletryzowane biografie ludzi z kręgu kultury: m.in.: “Barbara Brylska w najtrudniejszej roli”, “Barbara Wrzesińska przed sądem”, “Iga Cembrzyńska sama i w duecie”, oraz “Stefan Rachoń”, „Moc przeznaczenia” (biografia Czesława Ciotuszyńskiego – Polonusa z USA, konstruktora statków kosmicznych).

Komputerowa przyszłość



Joanna Sokołowska-Gwizdka

„The Future is here” – to hasło przewodnie naukowców, których zadaniem jest rozważenie kierunków w rozwoju komputeryzacji.

Komputery coraz bardziej ekspansywnie wchodzą w naszą codzienność. Masowo posługujemy się już internetem. Statystyki wykazują jak wielu przybywa corocznie internautów. Sieć i niezastąpiona maszyna stają się nieodłącznym elementem naszego życia. Szybkość w przekazywaniu informacji w ogromnym stopniu zwiększyła tempo rozwoju niemal wszystkich dostępnych nam dziedzin. Musimy jednak pamiętać o tym, żeby w szalonym wyścigu po coraz to nowsze technologie nie zapomnieć o samym człowieku, o jego wygodzie i komforcie.

Po raz pierwszy czynnikiem ludzkim w informatyce zajęto się podczas konferencji w Gaithersburgu (USA) w 1982 roku. Wtedy pojawiły się pierwsze komputery osobiste, a o kierunku rozwoju nauki zaczęły decydować coraz liczniejsze grupy HCI (*Human Computer Interaction*), zajmujące się połączeniem badań dwóch dziedzin, technicznej i humanistyczno-psychologicznej. Grupy te określają w jaki sposób coraz to nowsze technologie komputerowe mogą być łatwiejsze w praktycznym zastosowaniu przez człowieka. Przeprowadza się w tym celu szczegółowe badania psychologiczne, socjologiczne, etnograficzne, aby precyzyjnie określić potrzeby konkretnych grup ludzi, ich priorytety zawodowe, codzienne potrzeby oraz możliwości. Ustala się potem strukturę komunikacji między człowiekiem a maszyną, co służy do odpowiedniego projektowania interfejsów użytkownika.

Na konferencjach naukowych przedstawia się wciąż nowe projekty zastosowania komputerów w codziennym życiu. Podstawowymi funkcjami maszyny jest w tej chwili komunikacja oraz informowanie użytkownika, odpowiednie do sytuacji, w której w danej chwili się znajduje. Miniaturowe komputery pozbawione tradycyjnej obudowy, umieszczane w przedmiotach codziennego użytku, informują np. podczas jazdy samochodem o pogodzie, w domu o kończących się zapasach w lodówce, a w muzeum przedstawiają wycinek historii sztuki.

Przyszłość rozwoju komputeryzacji idzie w kierunku przyspieszenia komunikacji międzyludzkiej oraz ułatwienia codziennego życia poprzez szeroko pojęte informowanie. Widoczna tendencja do miniaturyzacji systemów komputerowych i umieszczania ich w przedmiotach codziennego użytku, w zegarkach, notesach, a nawet w zabawkach dla dzieci, przybliży świat wirtualny, dzięki czemu życie ma stać się łatwiejsze i wygodniejsze.

Komunikację zrewolucjonizowały też powszechnie używane *smartphony*, którymi posługuje się niemal każdy. Dzięki nim można na bieżąco mieć dostęp do potrzebnych informacji np. o pogodzie, czy dojeździe do określonego celu.

Łatwy i szybki dostęp do informacji niesie też za sobą różne zagrożenia. Urządzenia bez przerwy nas monitorują, określają

nasze położenie, potrafią rozpoznać czy idziemy, biegniemy lub jedziemy. Zbierają dane o naszych preferencjach i upodobaniach. Te informacje mogą służyć do śledzenia nas w każdym momencie życia, do zarzucania nas reklamami i ofertami. Taka jest cena za udogodnienia związane z komunikacją i informacją.

Odkrywanie biologicznych zagadek. Teresa Sokołowska-Rylska.



Teresa (Renia) Sokołowska-Rylska i Karol Wojtyła na KUL-u podczas egzaminu, fot. arch. Floriana i Zofii Śmiejów.

Florian Śmieja

Nie rozstrzygnę już tego pokrewieństwa: moja żona twierdzi, że Teresa Ścibor-Rylska (1912-1985) była jej kuzynką, ale ona sama utrzymywała, że była ciotką.

Teresa Sokołowska-Rylska owdowiała w pierwszych dniach Września, a żołnierski grób męża odwiedzaliśmy z nią kilka razy na zacisznym cmentarzu w Laskach. Teraz ona sama spoczywa obok niego.

W czasie okupacji w Warszawie pracowała jako pielęgniarka, była

kierowniczką laboratorium w fabryce namiastki herbaty. Pod pseudonimem Trembicka wzięła udział w licznych akcjach sabotażowych i szkoliła dziewczęta do pracy pielęgniarskiej i nauczycielskiej.

Po wojnie doktoryzowała się, by ostatecznie zostać kierownikiem katedry botaniki i zakładu biologii na KUL-u w Lublinie.

Została odznaczona Medalem Wojska oraz Złotym Krzyżem Zasługi.

Do przejścia na emeryturę wykladała biologię na KUL-u kolegując z zacnymi kompanami. Pisała o tajemnicach organizacji żywej komórki i o teoriach Teilharda de Chardina. Mnie podarowała na emigrację pomocny bardzo „Słownik ortograficzny języka polskiego”, a starszemu synowi swoją książkę „Porządek i organizacja w przyrodzie” z życzeniami „aby wybrał takie ścieżki biologiczne, na których może spotkać rozwiązanie wielu zagadek, odkrycia tajemnic życia”.

Kiedy przed śmiercią wybrała się do Rzymu, by odwiedzić dawnego Kolegę, zastanawialiśmy się o czym była rozmowa, bo gorącym tematem w Watykanie stały się komórki.

Komputeryzacja



Florian Śmieja

ODA DO ŻYCIA

Już od rana chciałbym zaliczyć sukces
lecz komputer poskąpił dobrych wieści

muszę polegać na sobie w tym względzie
jak często się zaklinam i bezzwłocznie
wymyślić zadanie do wykonania,
stać się samemu sterem i żeglarzem
i pomyśleć, że to nie tylko oda
do młodości lecz do życia całego.

CZEKAM NA WNUKI

Moje pociechy pędzą swoje życie.

Nie mają czasu ani cierpliwości

by mi niekiedy pomóc z komputerem.

Zachciało mi się jeszcze technologii
i nie nadążam już za nowościami
nie rozumiem języka, aplikacje
manipulują bezkarnie, bo w ciemno
i najczęściej klikam na chybił trafił
z przewagą na chybił. Chociaż rozumiem
że w dzisiejszych czasach bez komputera
nie można się obejść, to z awariami
mam więcej do czynienia niż z ich pracą.
Oflagują się, aby nic nie robić
i bądź tu mądry jeśliś nie fachowiec
albo amator oprogramowania.
Skoro nie chcę rozzłościć moich pociech

to ograniczam się do prostych ruchów
płacę frycowe za brak kompetencji
czekam na wnuki, bo będą łaskawsze
i bardziej za pan brat z elektroniką.

PO PRZERWIE

Po kilku jałowych dniach dość nieśmiało
podchodzę do komputera niepewny
czy już się znarowił nieodwracalnie
a jego „*non serviam*” jest ostateczne
i nie ma już od niego odwołania

czy odpocząwszy wznowi swe czynności
przywoła słowa, wezwie inspiracje
i spróbuje nadrobić utracone?

ZUPA Z GWOŹDZIA

Wstałem o świcie, aby się uraczyć
racją świadomego milczenia zanim
rozpoznam dzień i jego możliwości
bo nawet brak poczty na monitorze
nie musi oznaczać zrezygnowania
z ambitnych planów albo zaniechania

zaczętej akcji. Jestem doświadczonym
kucharzem, zrobię zupę na gwoździu.

UTRWALACZ

Pilnie szukam takiego instagramu,
który by zanotował, co uroi
głowa, bo tyle mi gdzieś przepada
między zamysłem a tym, co potem
widzę na stronie. Utrwalacz konieczny
bo bez niego zbyt wiele już straciłem.

ROBOT

Moje wiersze powstają jak na taśmie

i wykazują wszelkie niedoróbki

masowej produkcji czy procederu

zautomatyzowanej wytwórczości.

Myślę teraz jak zastąpić autora

gestią inteligentnego robota.

dysponującego wyszukiwarką

totalną, zdolnego w okamgnieniu

przewertować słowniki i wychwycić

właściwe słowa i z anonimatu

bezszałtnych odmętów wyczarować
karne hufce i zgodne chóry sfer
a z mroków nocy wydobyć na światłość
wyjątkową, niepokalaną perlę.

FAJKA POKOJU

Rozsierzzone niebo zabieliło się
od błyskawic próbujących się na nim
pojawić i najwidoczniej potargać
sieć internetowych powiązań ludzi
szukających zbliżenia i wymiany

myśli i budowniczych wieży Babel

która się wreszcie ziściła i łączy

zwaśnione przedtem obozy, przynajmniej

próbuję, bo bez kontaktu nie będzie

zgody. Internet to fajka pokoju

do tego obywa się bez tytoniu.

Jubileuszowa XXV edycja festiwalu „Maj

nad Wilią”

Teresa Markiewicz

Przy pomniku Adama Mickiewicza w Wilnie nad Wilenką w poniedziałek, 28 maja 2018 r., została tradycyjnie zainaugurowana XXV edycja festiwalu „Maj nad Wilią”. Od „Przywitania z Adamem” oraz tradycyjnego pozowania do wspólnego zdjęcia poetów przybyłych z dziewięciu krajów, w tym Anglii, Czech, USA, Belgii, Polski i in., a także wileńskich twórców, rozpoczęła się uczta słowa literackiego.



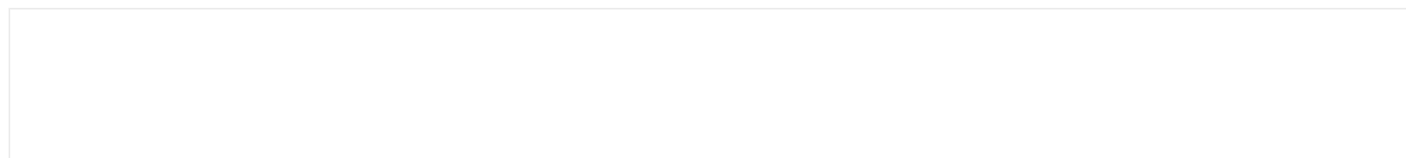
Inauguracja „Maja nad Wilią” pod pomnikiem Adama Mickiewicza w Wilnie, fot. Teresa Markiewicz.

Odsłone festiwalu, który od ćwierćwiecza sprzyja promowaniu polskiej kultury na Litwie, zarazem promując twórczość wileńskich autorów, zaszczyliła swą obecnością **Urszula Doroszevska**, ambasador RP w Wilnie. Udział wzięli także przedstawiciele Wydziału Konsularnego RP, Instytutu Polskiego w Wilnie oraz wielu innych placówek i instytucji wileńskich oraz zagranicznych, które przyczyniły się do zrealizowania festiwalu, odbywającego się tradycyjnie każdego roku w mieście nad Wilią.

Pani Ambasador w krótkiej przedmowie zaznaczyła, że fakt, iż festiwal przetrwał ćwierćwiecze działalności, jest żywy i istotny, tworzy jedno środowisko Polaków z Korony i Polaków z Litwy,

jest zjawiskiem nadzwyczajnym. Doroszeńska podkreśliła także, jak ważne jest budowanie mostów poprzez przekład literacki oraz ciepło pozdrowiła zebranych „w miejscu szczególnym i tradycyjnym” – jak to określił inicjator oraz nieustrudzony organizator rokrocznej imprezy – poeta i dziennikarz – **Romuald Mieczkowski**.

Organizator imprezy także dodał, że „od pierwszego festiwalu poczynając organizatorzy czynią starania, by twórczość dawnych wilnian oraz twórców związanych z Wilnem nie zanikała. Ten duch, który panuje podczas spotkań literackich jest dla Wilna bardzo potrzebny...”.



Na dziedzińcu Muzeum Adama Mickiewicza w Wilnie, fot. Bartosz Frątczak.





Na dziedzińcu Muzeum Adama Mickiewicza w Wilnie przy ul. Bernardyńskiej nr 8, po inauguracji, przy ścianach domu-muzeum odbyła się prezentacja twórczości obecnych tu autorów pt. „Przedpołudnie jednego wiersza”. Wśród festiwalowych gości swoją twórczość przedstawili poeci zagraniczni: **Renata Putzlacher, Ryszard Grajek, Helena Skonieczka, Janusz Taranienko, Dorota Gorczyńska-Bacik, Zbigniew Zales, Barbara Gruszka, Janusz Wójcik, Mirosława Wojszwiłło, Tomasz Snarski, Bernadeta Kalec, Stanisław Zawodnik, Teresa Barbara Banasik, Paweł Krupka, Leokadia Komaiszko.**

Wileńskich autorów reprezentowali: **Wojciech Piotrowicz, Alina Lassota, Aleksander Sokołowski, Józef Szostakowski, Romuald Ławrynowicz, Romuald Mieczkowski** oraz niżej podpisana.

Tegoroczny, jubileuszowy „Maj nad Wilią” ma charakter interdyscyplinarny, dlatego obfituje w różnorodne interesujące inicjatywy społeczno-kulturalne. W ramach festiwalu została otwarta bardzo interesująca wystawa fotograficzna **Jana Skłodowskiego** – „Litewskim szlakiem Narutowiczów”, m. in. z udziałem autora. Potem odbyła się konferencja „Niepodległość niejedno ma imię – 100 lat odrodzenia państwowości Litwy i Polski. Polacy w niepodległości litewskiej” – m. in. St. **Narutowicz, Michał Romer. Tadeusz Iwanowski (Tadas Ivanauskas)**, odrodzenie naszych państwowości w literaturze i sztuce. Z udziałem **Tomasza Kuby Kozłowskiego** (Dom Spotkań z Historią), dyskusje poprowadzili redaktorzy naczelni: Tomasz Otocky – portal „Przegląd Bałtycki”, Andrius Konickis – „Naujoji Romuva” i Romuald Mieczkowski – kwartalnik „Znad Wili”.



Tablica poświęcona Gabrielowi Narutowiczowi, fot. Bartoz Frątczak.

Obyła się także dyskusja na temat integracyjnej roli literatury, punkt widzenia młodych twórców, podsumowanie konkursu „Polacy Wielu Kultur”.

W niedzielę, 27 maja, w kościele Wniebowzięcia NMP (kościół Franciszkanów) uczestnicy festiwalu – poeci wileńscy oraz zagraniczni zebrali się, by wspólnie się modlić, a po nabożeństwie – liturgii słowa Bożego, tradycyjnie nastąpiło dzielenie się słowem lirycznym, czyli odbyła się refleksja liryczno-poetycka uczestników festiwalu, zgromadzonych w świątyni wileńskiej, znajdującej się na ul. Trockiej w Starym Mieście.

W niedzielę, w ramach jubileuszowego festiwalu w Domu Kultury Polskiej odbył się recital pt. „Piosenki lat międzywojennych” – koncert polskiej aktorki z wileńskim rodowodem – **Joanny Moro**. Koncert, na którym była obecna Urszula Doroszevska, ambasador RP w Wilnie, był ciepło przyjęty przez zebranych na widowni. Następnie odbyła się prapremiera filmu „Nieobecny”. „Nieobecny” to film dokumentalny o prekursorze polskiej poezji w czasach sowieckiej Litwy – **Sławomirze Worotyńskim** – o tzw. w gronie przyjaciół po piórze – „wileńskim Wojaczku”. Na prapremierze filmu był obecny syn poety – **Marcin Worotyński**, biznesmen, obecnie mieszkający w Amsterdamie, który ze sceny DKP serdecznie podziękował za zachowaną pamięć o jego ojcu-poecie: „Jest to piękny, wzruszający film, jestem głęboko wzruszony...” – powiedział wdzięczny syn wileńskiego poety. Premiera filmu odbyła się z udziałem jazzmana **Jana Maksimowicza** oraz aktualnych realizatorów tego filmu.

W Pałacu Balińskich w Jaszunach można było posłuchać wierszy Czesława Miłosza, Wisławy Szymborskiej i Adama Zagajewskiego w wykonaniu Wojciecha Pszoniaka i Birute Mar. Polsko-litewski wieczór poezji urozmaicił występ Jana Maksimowicza.



Pałac Balińskich w Jaszunach.



Birute Mar



Wojciech Pszoniak



Jan Maksimowicz

Jubileuszowy program festiwalu był wprost nasiąknięty sensacjami. Uczestnicy i goście festiwalowi mieli możliwość

wysłuchać koncertu Stanisława Soyki z towarzyszącym znanemu artyście zespołem. Publiczność z zachwytem oklaskiwała poezję śpiewaną znakomitego polskiego muzyka.

Artykuł pochodzi z portalu L24, dziękujemy za udostępnienie.

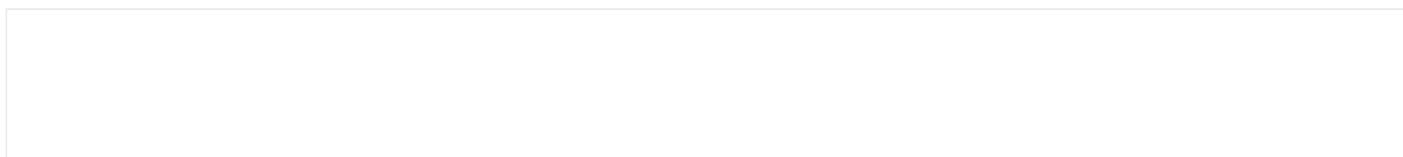
<http://l24.lt/pl/>

Wspomnienie o „Maju nad Wilią”:

<http://www.cultureave.com/wspomnienie-o-maju-nad-wilia/>

Program:

<http://www.cultureave.com/xxv-festiwal-poezji-maj-nad-wilia/>



Fotogaleria



Romuald Mieczkowski. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Brazionas



Birutė Jonuškaitė. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Joanna Tabor. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Brazionas



Irena Aleksaitė. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Renata Putzlacher. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Vytas Dekšnys. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Romuald Mieczkowski i Giedrė Šorienė. W Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas



Fot. Bartosz Frątczak.



Fot. Bartosz Frątczak.



Fot. Bartosz Frątczak.

Fotografie pochodzą ze strony Festiwalu „Maj nad Wilią”:

<https://www.facebook.com/majnadwilia>

Spotkanie w Cartagenie de Indias



Gustavo Arango, fot. Tatiana Melo.

Florian Śmieja

Kanadyjska poczta przyniosła mi powieść Kolumbijczyka Gustawa Arango *El origen del mundo* (Pochodzenie świata). Autor jest profesorem języka hiszpańskiego i literatury latynoamerykańskiej na uniwersytecie stanowym Nowego Jorku w Oneonta. Posyłając mi książkę, wpisał do niej:

Dla Floriana Śmieji, odnalezionego, choć nigdy nie zaginionego...

Choć dedykacja pochodzi z roku 2013, to poznaliśmy się już dawniej, w 1996 roku w cudownym nadmorskim mieście kolumbijskim Cartagena de Indias. Tam odwiedziłem redakcję dziennika „El Universal”, w którym za młodu pracował noblista Gabriel Garcia Márquez. Redaktorem tygodniowego dodatku literackiego tej gazety był wówczas młody pisarz Gustaw Arango, którego udało mi się zarazić podziwem dla poezji Herberta i Szymborskiej.

Leży teraz przede mną zachowany jeszcze numer tego dodatku z datą 8 grudnia 1996 r. z artykułem Gustawa zatytułowanym *Uścisk dla Wisławy (Un abrazo a Wisława)*, ilustrowanym dużą fotografią poetki. W artykule znalazł się opis naszego spotkania. Redaktor Arango przypomniał, jak to mężczyzna w średnim wieku przybyły z Kanady przyszedł do jego biura – i miało się okazać, że nie był to przypadkowy kanadyjski turysta, ale polski

poeta z Kanady, który w czasie spotkania opowiedział mu o Zbigniewie Herbertcie oraz spotkanej w Krakowie Wisławie Szymborskiej, świeżo uhonorowanej nagrodą Nobla.

Autor artykułu wspomina, jak dowiadywałem się o losy tego najlepszego dziennika w mieście, a potem wyraziłem swoje uznanie za kultywowanie na jego łamach w tych stronach tak pięknego, choć przecież mało użytecznego zamięłowania do poezji. Przypomina czytelnikom, że jego gość, nauczysz się hiszpańskiego w Irlandii i Anglii, pracował jako hispanista w Anglii, a potem przeniósł się do Kanady. Wymienia moje przekłady na polski meksykańskiej powieści *Gniew* i andaluzyjskiej elegii o osiołku pt. *Srebroń i ja*. Artykuł swój tak kończy:

Wiedząc, że te stronice dostaną się do rąk Wisławy, korzystamy z okazji, by przesłać jej całusa i uściski z podziękowaniem za wszystkie okoliczności, które pozwoliły nam raczyć się świeżością cechującą jej słowa.

Jego tekstowi towarzyszyły dwa moje przekłady wierszy Szymborskiej na hiszpański: *Pochwała złego o sobie mniemania* oraz *Portret kobiety*. Tę stronę kolumbijskiego dodatku wedle przyrzeczenia posłałem do Krakowa.

Okazało się, że ambitnemu pisarzowi Gustawowi Arango udało się później przenieść do Stanów Zjednoczonych, gdzie z czasem stał się uniwersyteckim wykładowcą i nagradzanym powieściopisarzem. Po latach mnie odszukał i przysłał książkę. Nie zapomniał również o Zbigniewie Herbercie, którego parę przekładów mojego pióra także w Cartagenie ogłosił. Utkwiły mu nie tylko w jego pamięci redaktorskiej, ale i twórczej. Bo w przysłanej mi powieści na stronie 103 widzę takie oto echa moich hiszpańskich prób tłumaczeń wierszy Herberta. Oto jak protagonista Aranga w powieści rozważa swoją sytuację:

Mogłem pozostać w odległej prowincji pod liśćmi sykomorów i pod rządami chorowitych nepotów...

i dalej:

wypracuję sobie strategię... nie mam zamiaru przysługiwać się... biłem brawo miarowo, uśmiechałem się połowicznie, marszczyłem brwi dyskretnie, nie spodziewając się złotego łańcucha, te z żelaza wystarczą. Opuściłem prowincję, bo tam wszystko było mi obce. Drzewa były jakby bez korzeni, domy bez fundamentów, kwiaty pachniały woskiem, deszcz szklany...Suche obłoki kołatały o puste niebo. Wróciłem przekonany, że będę mógł na nowo nauczyć się twarz, jak się

zachować. Ułożyłem się z dolną wargą, by umiała powściągać pogardę, zdołałem sprawić, by oczy były puste i zająca twarzy oduczyłem drżenia... Wierzyłem, że jakoś mi się to ułoży. Pomyślałem, że kluczem do sytuacji jest trzymanie się z dala od sztuczek z trucizną.

Przypomnijmy sobie teraz dla porównania fragmenty *Powrotu prokonsula* Herberta:

mógłbym pozostać tutaj w odległej prowincji
pod pełnymi słodczy liśćmi sykomoru
i łagodnymi rządami chorowitych nepotów

gdy wrócę nie mam zamiaru zasługiwać się
będę bił brawo odmierzoną porcją
uśmiechał się na uncje marszczył brwi dyskretnie

nie dadzą mi za to złotego łańcucha

ten żelazny wystarczy

...wszystko tu nie moje

drzewa są bez korzeni domy bez fundamentów deszcz
szklany kwiaty pachną woskiem

o puste niebo kołacze suchy obłok

trzeba będzie na nowo ułożyć się z twarzą

z dolną wargą by umiała powściągnąć pogardę

z oczami aby były idealnie puste

z nieszczęsnym podbródkiem zającym mej twarzy

Porównując oba te teksty, zastanawiałem się, czy mamy u Arango do czynienia z plagiatem, czy też ze świadomym

zapożyczeniem z utworu polskiego poety, z posłużeniem się doświadczeniami bliskiego autorowi człowieka, guru, idola, który także znalazł się w sytuacji emigranta i umiał swoje położenie wyrazić tak doskonale, że je zdominował? W ojczyźnie Arango wiódł życie skromne, ale „pełne”, wartościowe; żywił jednak ambicje, które sprawiły, że zakosztował w obcym kraju, pod innym słońcem i wśród odmiennych ludzi, bogatej kariery. Kiedy wspominał o straconej idylli, żyjąc w dostatku materialnym, może zatęsknił choćby fikcyjnie do swoich stron? I przypomniał sobie wynurzenia poetyckie Herberta?

Zakładam, że Herbertowi byłoby miło jako inspiratorowi wynurzeń człowieka z zupełnie innego kulturowego kręgu.

Powiązany artykuł:

<http://www.cultureave.com/klerk-mezny-wspomnienie-o-zbigniewie-herbercie-1924-1999/>

Hiszpańscy akademyści i poeci: Dámaso Alonso (1898-1990)



Dámaso Alonso

Florian Śmieja

Na mojej półce stoją przerzedzane stopniowo książki hiszpańskie. Jedną z nich jest tom wierszy “Hijos de la ira” w wydaniu argentyńskiej firmy Austral. Nosi on miłą hiszpańską dedykację wykaligrafowaną atramentem:

Dla Floriana Śmieji, dzielnego Polaka pod londyńskim niebem z żywą sympatią Dámaso Alonso, Londyn 13 stycznia 1960.

Nagle pamięć podpowiada szczegóły. Pewnego dnia w niepozornym człowieku siedzącym przy pulpicie w okrągłej sali czytelní dawnego *British Museum* rozpoznałem znamienitego akademika i prezydenta Królewskiej Akademii Hiszpańskiej. Byłem pewnie na jego odczycie kilka dni wcześniej w *King's College* albo w Instytucie Hiszpańskim. Podszedłem do niego z tomikiem jego głośnych już wtedy poezji i poprosiłem o autograf.

Przelał się nieco zaskoczony faktem, że go rozpoznałem. Były to czasy, kiedy gen. Franco siedział jeszcze mocno w siodle, a wyjeżdżający za granicę Hiszpanie czuli się nadal śledzeni i zachowywali dyskretną ostrożność.

Padał deszcz i było zimno. Zaproponowałem mu, że go

odprowadzę do radia BBC, na co się chętnie zgodził. Zanim mi wpisał dedykację, pedantycznie poprawił dwa błędy drukarskie książki klarując przy tym właściwości gramatyki hiszpańskiej. Zauważył też, pamiętam, że niemiecki tłumacz źle przełożył tytuł „Hijos de la ira” jako „Söhne des Zorns” zamiast „Kinder”. Słowo hiszpańskie „hijos” znaczy zarówno „synowie” jak „dzieci”. Wniosek: nigdy nie zawadzi skontaktować się z autorem.

Alonso był nie tylko słynnym profesorem literatury i znakomitym jej historykiem, ale także respektowanym poetą. Na znanej fotografii grupy poetów tzw. Pokolenia 1927, w sali Ateneum w Sewilli, obok m.in. Garcia Lorki, Rafaela Albertiego i Jorge Guillena widnieje Dámaso Alonso, a współcześni zapewniali, że bardzo się Dámaso z Federikiem lubili.

Wybrałem z „Dzieci gniewu” do tłumaczenia dwa krótkie wiersze „Bezsenna” i „De profundis” oraz długi tekst, który wraz z artykułikiem o autorze wydrukowałem pod tytułem „Kobieta z bańką na oliwę” jeszcze w 1960 roku w „Tygodniku Powszechnym”, a następnego roku „De profundis” w „Więzi”.

Dámaso Alonso z racji piastowanego urzędu i zawodowej reputacji polecał dobrze zapowiadających się młodych naukowców i twórców hiszpańskich na zagraniczne pozycje pedagogiczne. Kiedy przeniosłem się z *London School of*

Economics do *Nottingham*, do naszej katedry hiszpańskiego przyjechał na paroletni staż jego rekomendowany lektor, Claudio Rodriguez z Zamory (1934-1999). Młody, przystojny poeta był już wtedy autorem cenionych wierszy, które kazały na niego zwrócić uwagę. Jeszcze w 1966 roku wydrukowałem przekłady dwu jego tekstów w „Więzi”, a trzy dalsze w „Literaturze na Świecie” w 1975 roku, kiedy już byłem w Kanadzie. Rodriguez korzystając z pobytu w Nottingham, a potem w Cambridge poznał gruntownie i polubił poezję Dylana Thomasa. Wróciwszy do ojczyzny cieszył się wielkim uznaniem a jego poezje przyniosły mu bodaj wszystkie nagrody i wyróżnienia, jakie w jego ojczyźnie stały do dyspozycji, łącznie z fotelem Gerarda Diego w Królewskiej Akademii.

Znalazłszy się na uniwersytecie w Kanadzie spotkałem w zakładzie poetę i prozaika Jesusa Lópeza Pacheco (1930-1997), którego republikańskie przekonania i polityczne zaangażowanie wygnały na emigrację. Jego socrealistyczna proza znalazła uznanie w Moskwie, a wiersze również były na usługach anty frankistowskiego resentymentu.

Przełożyłem kilka jego zaangażowanych wierszy bacząc, by wybrać takie utwory, które miały mało klarownego adresata. Niemało się Jesús zdumiał, gdy wybrałem wiersz anty-generalski, a przełożywszy go, wydrukowałem w Polsce. Autor nie domyślił się, że tymczasem Polacy dorobili się również swojego

niedobrego generała i że ataki jego wiersza pasowały do niego jak ulał, świadcząc bezwiednie o wielostronnej użyteczności odpowiednio zastosowanej poezji

W Londynie łatwo nawiązywaliśmy kontakty z hiszpańskimi literatami, często wykładowcami uniwersyteckimi. Przyjeżdżali oni na zaproszenie iberystów brytyjskich i dawali wykłady, czytania lub brali udział w zjazdach naukowych. Oni z kolei mówili nam o tzw *tertulias*, regularnych spotkaniach grup profesjonalistów w miastach hiszpańskich. Nas interesował głównie Madryt. Tam w kawiarni „Gijón” zbierali się literaci, zaś w „Café Lyón”, naprzeciw głównej poczty, a niedaleko Biblioteki Narodowej, profesorowie i bibliotekarze. Każdego roboczego dnia między 2 a 4 na *sjestę* spotykali się przy kawie, kieliszku wina czy koniaku na pogawędkę.

Mając takie zaproszenie w kieszeni młody uczony przyjeżdżał do stolicy Hiszpanii, zachodził do „Café Lyón” i przedstawivszy się, był gorąco witany przez grono znakomitości, które okazywały się nie tylko wybornymi kompanami do wypitki i gawędy, ale pierwszorzędnymi znawcami przedmiotu, w moim wypadku, literatury hiszpańskiego Złotego Wieku. Potrafili w mig rozstrzygnąć wiele kwestii naukowych, informując nowo przybyłego precyzyjnie o najlepszych strategiach szukania i zdobywania potrzebnych wiadomości.

Przez wiele lat takim duchem sprawczym *tertulii* profesorów był don Antonio Moñino, były dyrektor Biblioteki Narodowej, wielki erudyta i bibliofil. Kiedy poszukiwałem rzadkiej książki szesnastowiecznego conceptysty, radził mi pojechać do Segowii. Tam kilkanaście lat wcześniej w bibliotece katedralnej na piętrze, w pewnym pokoju i drugiej szafie na takiej a takiej półce widział potrzebny mi egzemplarz książki. Były to czasy przed komputerowe, biblioteki rozporządzały niekompletnymi katalogami kartkowymi, a bibliotekarze byli kapryśni, w Hiszpanii mało zdyscyplinowani i potrzebowali bodźców. Pojechałem do Segowii i znalazłem książkę dokładnie tam, gdzie ją zapamiętał don Antonio. Kiedy indziej szukałem bez powodzenia żywota pewnego Świętego wydanego w 1613 roku. Kiedy o tym opowiedziałem gronu biesiadników, nazajutrz otrzymałem egzemplarz. Przyniósł go w kieszeni don Antonio, pozwolił zabrać do hotelu, przepisać potrzebne dane (nie było wtedy ksero) i zwrócić przy okazji.

W lecie, które w Madrycie jest uciążliwe, *tertulia* profesorów przenosi się nad morze do Santander. Daje to dodatkową okazję, by ożywić znajdujący się w tym mieście uniwersytet letni, do którego przyjeżdżają studenci z całego świata. Korzystają oni ponadto ze słynnej biblioteki założonej przez legendarnego erudyte Marcelina Menéndez y Pelayo. Po dziś dzień żyje jego mit i opowiadają, jak zwykł był on z książką w ręku zasiadać na otwartym piętrze tramwaju i jeździć nim w kółko nie

molestowany przez obsługę i współpasażerów.

W takiej atmosferze poznałem dyrektora szkoły studiów arabskich w Granadzie Emilio Garcíá Gómeza, z którego tłumaczenia średniowiecznych arabskich tekstów poetyckich z Andaluzji korzystałem, przekładając na polski kilkadziesiąt poezji arabsko-andaluzyjskich. Pisemne pozwolenie przysłał mi pocztą z Bagdadu, bo wtedy już sprawował funkcję hiszpańskiego ambasadora w Iraku.

Z jego nazwiskiem kojarzy mi się zabawna historia. Kiedy raz z poetą Józefem Łobodowskim poszliśmy w Madrycie na lampkę wina do tawerny znajdującej się w pobliżu jego miejsca zamieszkania, dyskutowaliśmy zażarcie o poezji arabsko-andaluzyjskiej. Wtedy podszedł do naszego stołu *limpiabotas* czyli pucybut, a uzyskawszy nasze przyzwolenie, zabrał się do glansowania naszych butów. Nie przerywaliśmy rozmowy i raz po raz w naszej polskiej konwersacji padało nazwisko Emilio Garcíá Gómez. Wtedy czyścibut spoglądał na nas ze szczególną uwagą, a my kontynuowaliśmy nasze wywody. Jeszcze kilka razy wymieniliśmy nazwisko Gómeza, a za każdym razem nasz czyścibut podnosił na nas wzrok. W końcu odezwał się niespodziewanie:

Czego panowie chcecie od Emilia Garcii Gómeza? Ja się

nazywam Emilio García Gómez.

Swoją drogą te podwójne hiszpańskie nazwiska są utrapieniem dla cudzoziemców, w tym również Polaków. Weźmy dla przykładu choćby często w ubiegłym wieku wymieniane nazwisko poety, który po hiszpańsku znany jest jako Federico García Lorca. A jak to nazwisko brzmi w dopełniaczu? Podobnie rzecz się ma z najpłodniejszym pisarzem hiszpańskim, którym był Lope de Vega Carpio. Nasi kuratorzy gramatyki nie spieszą się z werdyktem, jak takie nazwiska odmieniać po polsku pozostawiają nam decyzję, tak że musimy sobie radzić, jak umiemy.

Wśród bibelotów zachowałem także kilka wizytówek. Jedna jest hiszpańska z trzema różnymi nazwiskami osób, które tym niemniej stanowią jedną rodzinę. Tam już trzeba pewnych objaśnień. Po pierwsze wizytówka ma czarną obwódkę, jest więc wizytówką wdowy. Obok jej wydrukowanego imienia i nazwiska wykaligrafowano dwa dodatkowe nazwiska: syna i jego ojczyma. Kartonik stał się więc wizytówką rodzinną, którą mi wręczono podczas spotkania w Londynie.

Zanim podam nazwiska, opowiem całą historię. W sekretariacie Szkoły Nauk Słowiańskich i Wschodnioeuropejskich, gdzie byłem zatrudniony pół wieku temu, pracowała Lolita Raczyńska. Pewnego dnia posłała mi karteczkę. Miała dla mnie studenta

Hiszpana, który chciał się uczyć prywatnie języka polskiego przy pomocy hiszpańskiego. Ponieważ znałem hiszpański, a uczyłem polskiego, odpowiadałem zapotrzebowaniu. Kiedy przeczytałem nazwisko kandydata: księżę Adam Czartoryski, w pierwszym momencie pomyślałem, że padłem ofiarą żartu. Okazało się, że nie. Zjawił się dobrze ułożony szatyn wyglądający jak typowy sewillczyk zwący się po hiszpańsku Príncipe Adán Czartoryski. Zanim mogłem dawać mu lekcje, musiałem poznać rodziców: matkę i ojczyma. Wtedy dostałem wizytówkę z nazwiskami: Dolores de Borbón y Orleans, Carlos Chias Ossorio i P. Adán Czartoryski. Jego ojciec, Stanisław, już nie żył.

Były to czasy, kiedy gen. Franco miał się jeszcze dobrze, ale już przewidująco przysposabiał Juana Carlosa na przyszłego króla Hiszpanii. Pewnie, żeby uatrakcyjnić mojemu uczniowi niełatwy przedmiot, jakim był język polski, żartowałem, że jak jego kuzyn zostanie monarchą, to pewnie go wyśle do Warszawy jako ambasadora. I rzeczywiście kuzyn został królem.

Artykuł powiązany:

<http://www.cultureave.com/wscho-d-ogladany-przez-pejzaz--andaluzyjski-o-kasydach-i-gazelach-jozefa-lobodowskiego/>